

RÓŻNIA
I INNE OPOWIEŚCI
ZE WSI OBOK



RÓŻNIA

I INNE OPOWIEŚCI

ZE WSI OBOK

Mirosław Miniszewski



DZIKIE SIEDLISKO

2020

RÓŻNIA

I INNE OPOWIEŚCI
ZE WSI OBOK

Copyright © by Mirosław Miniszewski 2020

Redakcja: SiabroŹki ze wsi obok

Skład i okładka: Dzikie Siedlisko

Ilustracja na frontyspie: *Pustelnik*, Izabela Bochenko

ISBN 978-83-927487-1-7

wewsiobok.pl

mirosławminiszewski.pl

facebook.com/mirosławminiszewski

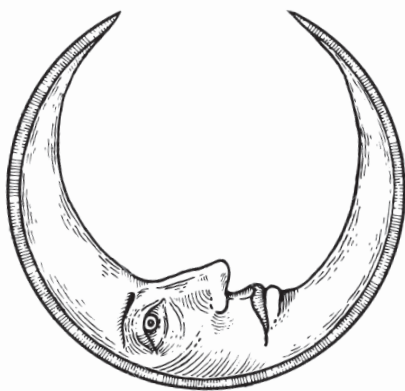
wewsiobok@wewsiobok.pl

DRUK:

PARTNER POLIGRAFIA

druk-z4h.com.pl

Wszystkie postaci i zdarzenia w tej książce są fikcyjne, a ich podobieństwo do rzeczywistych może być tylko przypadkowe. Publikacja jest przeznaczona wyłącznie dla osób pełnoletnich i zawiera treści erotyczne, pornograficzne, drastyczne oraz obrazoburcze. Ci, którzy mogą się poczuć obrażeni zmieszczonymi w niej treściami, powinni zaniechać jej czytania, gdyż Autor nie ponosi odpowiedzialności za skutki ewentualnej lektury.



RÓŻNIA

Są teraz takie wypadki, że nagle ktoś na wsi znika z domu, a potem wraca po jakimś czasie. Jednak domownicy zaczynają zauważać, że ta osoba jest jakaś dziwna, że to jakby ktoś inny — niby taki sam jak zaginiony, ale nie ten sam.

Ciężko jednak o dowody. Trudno zapytać. Dlatego mieszkają z tymi podmienionymi całymi latami. Żony, dzieci, mężowie — coś ich zabiera, a oddaje innych, jakby dziwnych, takich samych, ale jednak różnych.

Jedna kobieta opowiadała, że mieszka z podmienionym mężem. Że ten prawdziwy wyszedł z domu zeszłego roku latem, a potem wrócił. Niby ten sam. Jednak kiedy mu się dobrze przyglądała, widziała, że jest różnica — nawet nie różnica (fr. *différence*) a Różnia (fr. *différance*), powiedziała. Nawet znamiona w tym samym miejscu, bliźny te same, ale to jednak nie ta sama osoba. Ma coś w oku — to znaczy w spojrzeniu — coś obcego, niehumanicznego wręcz, zło takie albo zew jakiś dziki, jaki patrzył gdzie indziej, albo głębiej. Nie wprost, ale przez mgnienie, nawet nie sekundę tak patrzy, żeby wiedziała, że to nie jej mąż.

Kiedyś znów mężczyzna jeden opowiadał, że jego dzieci poszły na jagody, pacholeta jeszcze niewinne, a kiedy wróciły, czuł, że coś jest nie tak. Żona tego nie dostrzega i nie wierzy, do psychiatry go wysyła, ale on widzi, że to nie tylko nie jego dzieci, ale nawet ludzie to nie są. Mówi, że to człowiekony, kurwa, jakieś. Knują coś po nocach. Przyglądają się mu dziwnie. Nie odzywają się, tylko obserwują.

Znów jedna starowinka siostrę miała i ta zmarła, ale tak, że nikt nie wiedział o tym, bo nagle, w mieście wielkim. Na drugi dzień ta siostra wróciła — z zakupów niby. Toć tę starowinkę to szlag na miejscu prawie trafił! Cicho jednak siedziała, kawę temu kurwiszczu zrobiła i jak gdyby normalnie wszystko, ale nic nie mówi. Lęka się.

Ludzie się boją. Dużo tego po wsiach teraz jest. Są plotki, pomówienia, podejrzenia. Zła atmosfera od tego się robi po wsiach, po osadach leśnych. W miastach tego nie ma, albo nie widzą. Pewnie na wioskach ludzie bardziej wyczuleni są, nastroszeni, bardziej uważni może.

Źle też jest, jak całą rodzinę zabierze i wszyscy oni podmienieni potem są. Miałeś sąsiadów i masz niby nadal, ale chuj wie, kto to teraz tak naprawdę jest. Po psach widać, że nie chcą żreć od nich, było wyje i barabani okrutnie po oborach, bociany porzucają gniazda i uciekają z piskletami w dziobach z takich gospodarstw w pizdu, koty najeżone chodzą. I musisz z takimi gadać — *tirli tirli*, kurwa — że niby wszystko w porządku, a wiesz, że nie jest i wiesz, że oni też wiedzą, że ty wiesz, ale brnie się w to gówno, bo co zrobić?

A najgorzej to jest, a są takie przypadki, że człowiek sam gdzieś wychodzi i wraca — patrzy potem w lustro i widzi, że coś nie tak jest, że oko ma jakieś inne jedno albo dwa i w końcu zaczyna rozumieć, że nie jest już sobą, że jego też podmieniło, że coś zabrało tamtego jego prawdziwego, a dało obcego — tego oto tu — i wie już taki, że ma przejebane.

ŚWIĄTECZNI GOŚCIE

Przed chwilą do drzwi mojej chaty nerwowe pukanie. O tej godzinie zwykle już u nas drzwi nikt nie otwiera, ale po pukaniu słyszę, że mogło dojść do czegoś strasznego, więc otworzyłem pierwsze z trojga drzwi izolujących mnie od świata i trwożliwie pytam, kto tam, co tam? Okazało się, że to sąsiadka ze wsi obok ze synem. Ona już pod siedemdziesiąt lat, a chłopiec jakiegoś pięćdziesiąt. Mówi, że synek źle się poczuł i nie wiedzą, co robić, że chyba ciśnienie ma wysokie. Ponieważ jestem wrażliwy na ludzką krzywdę, otworzyłem. Ale od razu zobaczyłem, że mam przed sobą ofiary przerażającego chłania trwającego ponad tydzień. Matka ledwo stała na nogach, ale jako twarda zawodniczka jeszcze się trzymała. Chłopiec natomiast był w stanie opłakanym. Cały spuchnięty i taki rozedrgany jakiś.

Wpuściłem ich do środka i mówię, że trzeba chłopcu zmierzyć ciśnienie. Wziąłem aparat, posadziłem człowieka na krześle i kazałem mu rękę trzymać na stole nieruchomo, bo inaczej pomiar jest błędny. Założyłem aparat

i zmierzyłem. Wynik był przerażający – 284/192. Powiedziałem, że trochę wysokie ma to ciśnienie, że to w sumie cud świąteczny, że on jeszcze żyje. Powiedziałem też, że nie mam żadnych leków na zabicie takiego ciśnienia, że trzeba jechać do powiatu na SOR. Baba w płacz, że nie ma samochodu, że nie zdążą już dojść do wsi z powrotem, że chłopak jej umrze po drodze. Położyłem więc w moim golfie folię na tylnym siedzeniu, żeby mi przypadkiem nie obrzygał tapicerki, bo widziałem że napompowany świątecznym i noworocznym jedzeniem jest tak, że mu już uszami wychodzi.

Pojechaliśmy do szpitala. Po drodze, gdzieś w głębokim lesie, chłopiec zaczął potwornie wyć. Kazałem matce cały czas mierzyć mu ciśnienie. Miał niestety coraz wyższe. W pewnym momencie kazał zatrzymać auto bo, jak powiedział, nie wytrzymie tego telepania po krzywej drodze. Zatrzymałem auto i pozwoliłem mu wyjść. Widziałem, jak normalnie z niego bucha para od tego ciśnienia. Musiał mieć już dobrze powyżej 300/200. Pamiętam, jak moja babcia opowiadała, że przed wojną w Poznaniu jej sąsiadka, niejaka Ludwiczaczka, na Jeżycach miała takie

ciśnienie i cała szerniała, zwęgliła się całkiem. Bałem się, że chłopak też się zwęgli i będzie na mnie potem. Zobaczyłem, że matka pociąga wódkę z butelki, co ją wyjęła z prochowca. Powiedziała, że musi, bo się denerwuje. Wtedy chłopiec pobiegł na bagna i tam się chyba spalił, bo było słychać wybuch i takie złowrózbnne skwierczenie przez dobry kwadrans. Matka, jak to zobaczyła, pobiegła do drzewa i chciała się powiesić na rajstopach, ale ją powstrzymałem. Na to wszystko, jak dobre anioły, pojawili się chłopacy ze Straży Granicznej w samochodzie. Przekazałem im matkę i powiedziałem, że wracam do domu i że pierdolę to wszystko, żeby rano poszli szukać na bagnach zwęglonego chłopca lat pięćdziesiąt. Wróciłem do domu i powiedziałem sobie, że już, kurwa, nigdy nie otworzę nikomu drzwi po dwudziestej pierwszej.

Jak tylko się położyłem i chciałem wrócić do oglądania filmu *Potwór z Bagien* na Netflixie, znów straszliwe pukanie do drzwi. Zszedłem i ponownie pytam, kto tam, co tam? Okazało się, że to wrócił ten chłopiec lat pięćdziesiąt, że się nie zwęglił, tylko petardy puszczał na tych

bagnach, a ja, kurwa, myślałem, że on się spalił jak ta Ludwiczaczka w jebanym przedwojennym Poznaniu. Pytam go, po chuj tu znów przylazł po nocy dupę mi zawracać. Odpowiedział, że chciałby, żeby go podrzucił do województwa na Sylwester miejski. Powiedziałem, że Sylwester był wczoraj, a dzisiaj jest już prawie z stycznia zozo roku. Chłopak bardzo smutny poszedł w ciemność.

Po pięciu minutach kolejne pukanie. Spojrzałem przez okno, a to matka chłopaka z jakimś gachem z gminy stoją z tym takim ni to kołem ni słońcem z papieru na kiju i śpiewają kolędę prawosławną Christos nam narodził się. Przez zamknięte drzwi powiedziałem, że jeszcze tydzień do prawosławnego Bożego Narodzenia, a oni, że chuj mi w dupę w takim razie.

NAWIEDZENIE

Wiadomo, że jak dom nawiedza duch, spada temperatura i nawet w środku lata para z pyska lecąca zwiastuje owo nawiedzenie. We wsi obok tydzień temu nawiedziło chatę młodego małżeństwa, sympatycznych, ale bardzo schorowanych ludzi. Dziewczyna choruje na yamamoto, a chłopak ma priapizm. Coś okropnego. Dają jakoś radę mimo wszystko.

W zeszły poniedziałek po śniadaniu ich dom nawiedził duch. Temperatura spadła tak, że chłopak nie nadawał drewna do pieca nosić. Robili herbatę i ta, zanim cukier się rozpuścił, zamarała. Duch prześladował ich okrutnie. Obawiano się zapalenia płuc z powodu temperatury. Pani Wala nawet im farelkę pożyczyła, ale na niewiele się to zdało. Cała chata zamarznięta, woda, a nawet pasta do zębów ścięte na lód. Duch wisiał w powietrzu i wył. W sumie w dupie wszyscy tego ducha mieli, tylko ten mróz był nie do wytrzymienia. Dzisiaj posłano po Babę Chwałpę Bantu, która jest fest biegła w tych sprawach, trucicielstwem się okrutnym para i kraft

straszliwy po bagnach czyni. Baba przysła i od razu rozpoznała sprawę. Nakazała posłać pod Płock umyślnego, żeby menstruującą zakonnicę mariawitkę sprowadzić czym prędzej. Pod wieczór przywieźli zakonnicę schizmatycką, która miała białą czapę na łebie. Baba Chwałpa Bantu powiedziała jej, co i jak, i ta, zdjawszy habit, srom wystawiwszy w stronę ducha, krwią menstruacyjną mu sikła prosto w czerep, że aż się zachwiał, zadrżał i znikł sycząc. W domu od razu zrobiło się ciepło, lód się roztopił i nastała radość. Dziewczyna nagotowała barszczu i narobiła klu-sek z masłem, a pani Wala z panem Genkiem przynieśli wielki gar kogła mogła. Zeszła się cała wieś. Wszyscy jedli ze smakiem, częstując zakonnicę i ciesząc się ciepłem z pieca. W końcu ktoś zapytał, dlaczego musiała to być akurat zakonnica heretyckiego kościoła mariawitów spod Płocka. Baba na to wzięła czereśnię z kompotu na stole i pestką strzeliła mu w twarz, że aż podskoczył. Śmiechom i żartom nie było końca.

ŚMIERĆ NA WERANDZIE

Od lat piszę o tym dziwnym zjawisku, które pojawia się w naszej okolicy latem podczas największych upałów. Wtedy to niektórzy starsi mężczyźni zaczynają przesadnie dbać o siebie, kupują nowe, eleganckie ubrania i zakochują się śmiertelnie w młodych chłopakach. Pogoda musi być bardzo duszna, musi wiać ten straszliwy letni wiatr odbierający nadzieję i chęć życia. Każdego roku w związku z tym dochodzi do tragedii. Mężczyźni ci bowiem zakochują się w młodzieńcach, ale finał jest zawsze taki sam — po jakimś czasie siadają na werandach domów z kieliszkiem ekskluzywnego trunku w ręku i umierają z miłości w tych swoich przepięknych, eleganckich tropikalnych garniturach w stylu kolonialnym. Ich nagła i tajemnicza śmierć zwiastuje co roku koniec upałów i jesień na horyzoncie.

W tym roku zapowiadało się, że będzie podobnie. Upały nadeszły jak zwykle, duszny wiatr wiał jak trzeba, kilku mężczyzn weszło w ów stan pobudzenia homoerotycznego, ale okazało się, że nie było w okolicy żadnych młodych chłopaków.

Ani jednego! Nie mieli w kim się pozakochiwać. Snuli się więc po okolicy w tych ubraniach w piaskowym kolorze i nie wiedzieli, co się dzieje. Kiedy przyszedł czas ich śmierci z miłości, nie siadali na werandach, nie pili dobrego alkoholu i nie umierali. Jeszcze dzisiaj ostatni taki jeden wałęsał się po okolicy, ale odpuścił i mówi, że wieczorem przebiera się w robocze ciuchy i pierdoli takie sirocco bezproduktywne.

Wszyscy zastanawiali się, co poszło nie tak. Dlaczego jest tak, jak jest? Baba Chwałpa Bantu zarzuciła mi brak wrażliwości i zanik zmysłu obserwacji, który dotąd mnie nie zawiódł. Powiedziała, że z uwagi na temperatury wyższe niż zwykle oraz kryzys gospodarczy młodym chłopakom zaczęła się zmieniać płeć. Wszyscy stali się dziewczynami. Jak bowiem wiadomo, płeć staje się niestabilna w dwóch sytuacjach: po pierwsze kryzysu, który przecież szaleje, po drugie nadmiernego upału. Ludzie się bardzo zdziwili, na co Baba powiedziała, że nam pokaże.

Zaprowadziła nas na Polanę Chorych Zajęcy przy bagnach, a tam cała grupa naszych okolicznych chłopaków z pozmienianą płcią na kobietą

— umalowanych, z długimi rzęsami, w szpilkach i w kieckach w towarzystwie dziewczyn z sąsiedniej wsi. Impreza na całego, całowanie się, seks i cholera wie, co jeszcze. Lesbijstwo normalnie masowe. Baba kazała nam patrzeć i powiedziała, że tego wszystkiego to teraz coraz więcej będzie, bo kolejna ciepła zima się zapowiada, a kryzys na wiosnę będzie taki, że ludzie wyć będą — więc płęć się zdestabilizuje, jak nigdy wcześniej.

KOMISJA NA JAM SESSION

Zawsze, kiedy kończy się lato i zaczynają żółknąć liście, ludzie w naszej okolicy mają się bardziej ku sobie. Zboża i warzywa zebrane, przetwory porobione, a do zimy jeszcze daleko. Jest więc dużo wolnego czasu. Wtedy organizowane są we wsi obok spotkania, na których albo słuchamy muzyki, albo śpiewamy, albo snujemy opowieści.

Tak też było kilka dni temu, kiedy wszyscy zebrali się u pani Wali na wieczornym spotkaniu. W planach było tym razem pieczenie drożdżówki, robienie kogla mogła oraz pogaduchy o tym i o tamtym. Wszyscy zebrali się w chacie i narażała radosna atmosfera.

Wtedy do wsi zajechał samochód, a w nim faszystowska komisja z województwa. Co jakiś czas jeżdżą po wsiach, kontrolują i przypierdalają się o wszystko, co wydaje się sprzeciwiać władzy. Wszyscy byli bardzo wkurwieni, bo taka komisja zawsze oznacza kłopoty.

Z eleganckiego samochodu wysiadło pięć osób. Dwie kobiety i trzech mężczyzn. Ubrani oczywiście na czarno. Weszli do chałupy i powiedzieli, że będzie kontrola. Pani Wala zapytała, jaka kontrola i na jakiej podstawie prawnej. Ich kierownik chyba, wyjątkowo posępny facet, powiedział, że jak zaczną się dyskusje, to się zrobi nieprzyjemnie i zostanie użyta przemoc.

Najpierw zapytali, co to za zgromadzenie i w jakim celu zwołane. Potem zaczęli chodzić po pokojach, grzebać po szafach i wywlekać z nich wszystko. W ludziach rósł bunt. Ponieważ tym razem były z nami Baba Chwałpa Bantu, Mała Chechła i Marzenka – potężna kobieta, z dłońmi jak bochny chleba, zawodniczka boksu mongolskiego, mistrzyni wagi ciężkiej ajmaku chubsugulskiego z roku 2011 – to wiedzieliśmy, że wystarczy mała iskra, a dojdzie do tragedii. Wszyscy jednak siedzieli cierpliwie i nie wszczynali awantur.

Po kontroli, która zakończyła się konfiskatą dwóch tęczowych flag, wydania *Gazety Wyborczej* z 1994 roku i jakiegoś metalowego przedmiotu, którego nie potrafiła zidentyfikować sama

właścicielka, komisarze zapytali, gdzie trzymamy norki i lisy na futra. Wszyscy powiedzieli, że tu takich ferm nie ma. Oni na to, że jak to nie ma. My na to, że normalnie, nie ma i chuj. Komisarze powiedzieli, że w takim razie będzie mandat za brak fermy norek albo lisów. Pan Gienek zapytał, jaki, kurwa, mandat i za co. Jedna baba z tej komisji powiedziała, że teraz będzie likwidacja ferm norek i lisów w Polsce, bo władze państwowe są wrażliwe na ich krzywdę i trzeba je zamykać. Ktoś powiedział, że to chyba dobrze, że u nas czegoś takiego nie ma, bo nie będzie problemu z likwidowaniem. Komisja na to, że nie, że właśnie mają być, żeby było co zamykać, i że skoro u nas nie ma, to nie można zamknąć, i dlatego będzie mandat, bo to jest kpina z władz kraju, żeby nie mieć ferm, które będzie można pozamykać, że w całej okolicy ani jednej nie znaleźli i będą z tego duże problemy.

Wtedy jeden z tych dziadów komisyjnych powiedział, że w takim razie, skoro tak sobie pogrywamy, to będzie konfiskata domu pani Wali na poczet przyszłej kary. Wtedy z kana-py zerwała się Marzenka i chciała biec do tego

faszysty. Zapewne zabiłaby go na miejscu jednym ciosem, ale baby ją na szczęście powstrzymały. Pan Gienek szepnął na ucho jednej dziewczynie, żeby pobiegła do stodoły i wyjęła schowaną tam widerhakenszpicę. Trzymają ją od czasów wojny, kiedy to za jej pomocą Mała Chechła w 1942 roku zmasakrowała całe komando SS. To była potworna rzeźnia. Nikt z nazistów wtedy nie przeżył. Widerhakenszpica, ta we wsi u nas, jest w dobrym stanie. Znakomity egzemplarz produkcji niemieckiej, jeszcze z czasów pierwszej wojny światowej. Potworna siła rażenia. Do tego oryginalna skrzynia, szelki, kilka zapasowych głowic i kalibrator.

Dziewczyna już chciała biec po nią, ale powstrzymała ją Baba Chwałpa Bantu, mówiąc, że tych tu jest tylko piątka i nie ma co wyciągać armaty na komara, że załatwimy ich inaczej. Zwróciła się do komisji mówiąc, że zaraz dokonają wszystkich formalności, ale to jest oficjalne wydarzenie sołeckie, czyli państwowe i naruszają prawo, jak je przerwą, więc muszą poczekać, bo zaraz będzie koncert. Komisja zapytała, jaki koncert. Baba powiedziała, że muzyczny. Faszysci

powiedzieli, że w takim razie z chęcią go wysłuchają, bo są ludźmi głębokiej kultury, a władza kulturę wspiera, zwłaszcza muzykę na Podlasiu. Zasiedli na krzesłach i czekali. Szybko uformował się zespół. Za pianinem usiadł pan Gienek, gitarę basową ogarnęła Mała Chechła, perkusję transdżęda Dżidża, a saksofon i wokół Baba Chwałpa Bantu, która zapowiedziała utwór *Keep it to yourself*. Zaczęli grać jam session. Komisja wierciła się niespokojnie, a my już wiedzieliśmy, że oni tego nie wytrzymają.

Faszyści zawsze nienawidzili jazzu. Za jego granie, a nawet słuchanie, hitlerowcy wysyłali do obozów koncentracyjnych. Gomułka natomiast rozkazywał napadać milicji na kluby i katować muzyków, gdzie grano jazz w czasach zamordystycznego komunizmu. Totalitariusi nienawidzą wszystkiego, co powstaje w duchu wolności.

W każdym razie muzyka grała, a wszyscy czekali w przerażeniu na to, co nieuchronnie musiało nadejść. Po chwili się zaczęło. Jeden z członków komisji zaczął sinieć i rzuć. Pozostali faszyści chowali twarze z dłoniach albo zatykali uszy. Ten siniejący był jednak w najgorszej sytuacji.

Nagle wstał i zaczął krzyczeć, ale po chwili zamiast głosu z ust trysnął mu brązowy likwid. Potem zgiął się w pół i wtedy doszło do tragedii – wyrwało mu odbyt, który z hukiem przeleciał przez rozszarpane spodnie i z impetem pierdolił w meblościankę, gdzie potłukł kryształ, który pani Wala dostała w 1985 roku w prezencie od cioci Czuczki z Witebska.

Funkcjonariusz państwowy stracił przytomność, a pozostali członkowie komisji w popłochu uciekli z chałupy. Wtedy Mała Chechła powiedziała, że wiedziała, że tak będzie i że trzeba było ich sieknąć widerhakenszpicą, co byłoby bardziej humanitarne, a tak, o – kryształ potłuczony i pół mieszkania obsrane. Pan Gienek na to, że może i obsrane, ale przynajmniej nie skonfiskowane.

Wynieśli tego z wyrwanym odbytem na podwórko i zaczęli go cucić. Kiedy się ocknął, zaczął wygrażać sądem i prokuraturą. Wtedy Baba Chwałpa Bantu pokazała mu saksofon i zagroziła, że zagra – to się uspokoił.

Faszyści w końcu postanowili odpuścić i odjechać. Kiedy wsiadali do samochodu, ten ciężko

poszkodowany zapytał, czy może odzyskać odbyt i zabrać ze sobą, to może mu w województwie go wszyją. Pan Gienek na to powiedział, że już go nie ma, że koty weszli przez okno, zabrali i pewnie już zjedli.

Komisja odjechała. Pomogliśmy posprzątać dom pani Wali, która bardzo płakała nad rozbitym kryształem. Mała Chechła powiedziała jej, że nie ma co się martwić, bo to straszne badziewie było i że takich klamotów już się w domach nie trzyma, i że kto w domu ma jeszcze meblóścianki w ogóle? Pani Wala odrzekła jej, że nie musiała takich rzeczy mówić, że ona ma, jak ma, i inaczej nie będzie już, bo za stara jest na zmianę mebli, a z kryształu to lubiła sobie czasami winko pociągnąć, takie własnej roboty z truska-wek albo czereśni, i gdzie ona teraz taki znajdzie.

Dokończyliśmy robić drożdżówkę, kogel mogel i zasiedliśmy do stołu. Bawiliśmy się do późnej nocy, a śmiechom i żartom nie było końca. Zza okna zaś słyszać było cały czas rozkoszne dźwięki mlaskania. To żywotne kuszały ze smakiem. Tego wieczoru to one najwięcej skorzystały z wizyty komisji.



POSŁOWIE

Pamiętam, jak kiedyś późną wiosną pracowałem w ogrodzie. Pielilem, przekopywałem, coś siałem i sadziłem. Jeden z moich przyjaciół przyglądał się temu, co robię, i zapytał mnie, czy sprawia mi to przyjemność. Byłem tym pytaniem bardzo zaskoczony, bo nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Odpowiedziałem szczerze, że nie, nie sprawia mi to przyjemności. Wtedy mnie zapytał, dlaczego zatem to robię. Odparłem, że robię to dlatego, że jest to ziemia i trzeba ją uprawiać, że są warzywa, o które trzeba dbać, trzeba je potem zebrać i zjeść. Po prostu, tak trzeba. Nie mogę jednak powiedzieć, aby sprawiało mi to przyjemność. Wręcz przeciwnie, jest to ciężka robota, która kończy się zwykle obfitym spojeniem, pobrudzeniem i dolegliwym zmęczeniem, także owad zwykle w ogrodzie daje się ostro we znaki. Myślę, że podobnie mam z pisaniem.

Wielokrotnie byłem pytany, skąd biorę pomysły na teksty, na te popierdolone historie, jakie ukazały się już w mojej pierwszej książce *Opowieści ze wsi obok*. Zawsze odpowiadałem, że nie wiem. Te historie po prostu do mnie przychodzą, tak jakby była jakaś przestrzeń, gdzie one już istnieją, a ja tylko je stamtąd wyciągam, wydobywam na światło dzienne i opowiadam, aby i inni mieli do nich dostęp. Jest to dosyć dziwne i wolę się bardziej nie zagłębiać w to zagadnienie. Nie chcę wnikać w to, jaka jest natura tych treści i jakie jest ich prawdziwe źródło. Po prostu skupiam się na tym, że one płyną, a ja je spisuję. Jednocześnie im mniej piszę, tym gorzej się czuję psychicznie, jakby to był rodzaj jakiejś kary, jakiegoś bólu wywołanego przez ciśnienie, które te historie powodują, kiedy nie chcę ich spisywać. To poczucie przygnębiaenia jest znacznie gorsze niż zmęczenie i wyniszczenie, które powoduje czynność pisania, po prostu więc chyba nie mam wyboru.

Harkawicze,
Pełnia Księżycy w Baranie
1 października 2020

SPIS TREŚCI

UCIECZKA Z MIASTA	11
RÓŻNIA	15
PODMIENIONY SYN	19
KWIAT PAPROCI — HISTORIA PRAWDZIWA	29
KATOWNIA	39
ŚWIĄTECZNI GOŚCIE	45
STARE LALKI Z ROSJI	49
TRAGEDIA W AGROTURYSTYCE	57
NIESNASKA WIGILIJNA	59
OSOBA REPRESJONOWANA	61
ZA DUŻO GOSCI	63
NAWIEDZENIE	67
WIZYTOWE UBRANKO	69
UKARANA FASZYSTKA	71
DŹGADŁO	73
PODWÓJNE ŚCIANY	77
SZAROTKA ALPEJSKA	79
SYN KSIĘDZA	81
STUDNIA	85
ÓW DZIEŃ	87

PODRÓŻ DO AUGUSTOWA	89
POWRÓT Z BYDGOSZCZY	91
SOŁECKI MARSZ RÓWNOŚCI	93
NADCHODZĄCE WYBORY A WOLNOŚĆ	97
W GMINNYM OŚRODKU ZDROWIA	99
POLICYJNY NAPAD W GMINIE	101
KANDYDAT W ŻAKARDOWYM GARNITURZE	107
MGŁA	111
ROSÓŁ DLA CIĘŻKO CHORYCH	113
CZEPKI DYSCYPLINY	115
ŚMIERĆ NA WERANDZIE	119
UCHODŹCY	123
RUSKI OFICER	129
MOROWE TRUSKAWKI	131
OPUSZCZONA OSADA	137
KARZEŁ	149
BŁOGOSŁAWIONA MIŁOŚĆ	151
ZEJŚCIE	155
GRUZIŃSKIE WINO CERKIEWNE	157
LATAJĄCY OBIEKT	161
PKS WIDMO	163
NIEUDANA RANDKA	169

EINS, ZWEI, EINS, ZWEI!	179
KOMISJA NA JAM SESSION	183
ABORYGEN	191
POTWORNY WYPADEK	193
KADŹ Z ZACIEREM ZE ŚLIWEK	199
KOMORNICA	203
SKOPCY W GMINIE	211
POSŁOWIE	221